

JAN GRYGIEL

Synagoga i dalsze sprawy

PRZEKAZANIE RZESZOWSKIM plastykom nowego ośrodka kultury i upowszechnienia twórczości plastycznej jest wydarzeniem dla naszego miasta doniosłym. Taką bowiem rolę spełniać będzie stara XVII-wieczna synagoga zaadaptowana po długotrwałym remoncie do pełnienia funkcji „Domu Plastyków”. Rzeszów po raz pierwszy w swych dziejach otrzymuje odpowiednik (oczywiście w mniejszej skali) „Zachęty”, „Arsenału” czy „Pałacu Sztuki”.

Decyzja uratowania wypalonych murów synagogi i wypełnienia ich po odbudowie nową treścią była decyzją odważną — zważywszy ile wywoływała protestów ze strony wielu ludzi w Rzeszowie, jakie pociągała za sobą koszty i ile przysparzała kłopotów i trosk przy samej adaptacji przedsięwzięciu remontowo-budowlanym przy prowadzeniu tak nietypowych prac. Kilka lat trwała praca nad odbudową — jak w kalejdoskopie zmieniali się wykonawcy i termin zakończenia prac.

Nie brakowało w tym czasie tematu wspólnych żartów — np. w dniu, który uroczysto zaplanowano jako termin oddania synagogi do użytku na jej murach jeszcze beztrasko rosły młode brzozy.

Ma więc „Synagoga” rzeszowska swoją legendę, swoją złą i dobrą sławę u wielu mieszkańców miasta — nie jest dla Rzeszowa obiektem obcym i obojętnym.

Otwarty dziś ośrodek kulturalny służyć będzie nie tylko plastyce. Będzie także gromadził w swym wnętrzu dziennikarzy, członków klubu literackiego, aktorów, architektów i muzyków. W synagodze bowiem obok sal wystawowych i pracowni malarskich mieścić się będzie klub związków i stowarzyszeń twórczych. Trudno oczywiście z góry wyrokować, jaka będzie rzeczywista rola tej placówki w życiu kulturalnym miasta. Istnieją jednak wszystkie szanse by stała się ruchliwym centrum, inicjatyw artystycznych, wymiany poglądów, dyskusji i działalności z zakresu upowszechniania sztuki w naszym mieście.

Otwarcie „Synagogi” stanowi pierwszy etap działalności długofalowej i niełatwej, lecz świadczącej o ambicjach i zaangażowaniu w sprawę formowania oblicza przyszłego Rzeszowa, zarówno środowiska plastycznego, jak i władz miasta, i województwa. Między innymi w związku

CIĄG DALSZY NA STR. 2



Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

Chcemy, aby środowiska twórcze wpływały na rozwój intelektualny społeczeństwa Rzeszowszczyzny

OD REDAKCJI: Od pewnego czasu obserwujemy wzrost zainteresowania temata rzeszowską i jej różnorodną problematyką. Wpływa to z dynamicznego rozwoju tego rejonu kraju, i wielu inicjatyw podejmowanych i realizowanych przez społeczeństwo, a także ze znanych walorów turystycznych, osiągnięć gospodarczych, kulturalnych itp. woj. rzeszowskiego.

Problematyka ta coraz częściej znajduje odbicie na łamach centralnych dzienników i czasopism, w radiu oraz w telewizji.

Ostatnio centralna rozgłośnia Polskiego Radia w Warszawie emitowała wywiad z I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie tow. Władysławem Kruczkim na temat działalności i rozwoju środowisk twórczych na Rzeszowszczyźnie. Wywiad, który dziś publikujemy przeprowadził red. Roman Samsel.

PYTANIE: Jak oceniacie, towarzyszu sekretarzu, środowiska twórcze Rzeszowszczyzny. Jak kształtuje się ich rozwój?

ODPOWIEDZ: Do 1945 roku nie było województwa rzeszowskiego, a więc nie było tych środowisk, o które pytaacie. Nie było teatrów, Orkiestry Symfonicznej, zorganizowanego środowiska literackiego, plastycznego czy dziennikarskiego. Po wyzwoleniu trzeba więc było niemal od zera tworzyć nową bazę dla działalności kulturalnej, oświatowej, artystycznej, budować domy kultury, świetlice itp. Wspomnę np., że w roku 1945 mieliśmy zaledwie 2 kina z 200 miejscami.

Najstarszym środowiskiem, tu na Rzeszowszczyźnie, jest środowisko plastyczne. Wojna pozostawiła nam kilku plastyków, którzy z różnych zakątków kraju zatrzymali się na naszej ziemi tworząc pierwszą komórkę Związku Polskich Artystów Plastyków. Dopiero w 1957 roku przybyła do Rzeszowa grupa 14 absolwentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Potem przyjechali inni, związani pochodzeniem bądź też więzami rodzinnymi z Rzeszowszczyzną. Dziś plastyków mamy już ponad 70.

Środowisko aktorskie powstało tuż po wojnie, razem z Teatrem Narodowym. Tak bowiem nazywał się wówczas nasz rzeszowski teatr. Tu występował znany dziś w całej Polsce Kazimierz Dejmek. Pamiętam... grał wtedy rolę Jaśka w „Balladynie” Słowackiego. Od tego czasu da-

warzyszu sekretarzu, na ten temat powiedzieć i jak ten mecenat rozumiecie?

ODPOWIEDZ: Są to sprawy bardzo złożone. Bo chociaż nie mamy tych środowisk twórczych za wiele, zakładamy jednak, że w przyszłości odegrają one poważną rolę. Na czym polega nasz mecenat? Pozwolicie, że przytoczę kilka przykładów. Znany jest fakt, że po przyjeździe do nas „grupy czternastu”, daliśmy wszy-

Wywiad z członkiem KC I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie Władysławem Kruczkim

tuje się stały rozwój teatru. Mamy dziś około 50 aktorów. Są to ludzie bardzo pracowici, którzy w ciągu roku dali ponad 450 spektakli dla prawie 200 tys. widzów. Jednostu aktorów zatrudnia ponadto Teatr Lalki i Aktora „Kacperek”. Powołano również do życia Orkiestrę Symfoniczną, Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych, Biuro Wystaw Artystycznych itp.

Środowisko dziennikarskie liczy obecnie około 60 osób. Są to dziennikarze „Nowin Rzeszowskich”, Rozgłośni Polskiego Radia oraz oddziałów innych gazet.

Klub Literacki z 25 członkami, jako załazek przyszłego Oddziału Związku Literatów, powstał rok temu. Oprócz tego działa w Rzeszowie Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, skupiający około 20 członków.

PYTANIE: Wiadomo, że władze wojewódzkie Rzeszowszczyzny szczególnie troską otaczają środowiska twórcze i że przywiązują — tak to przynajmniej zrozumiałem i odczułem — ogromną wagę do rozwoju tych środowisk, wypracowując już pewne formy mecenatu. Może nawet są to formy inne aniżeli w wielu regionach Polski. Co możecie, to-

stkim plastykom mieszkania, a prawie taka sama grupa osób otrzymała mieszkania spółdzielcze. Dla potrzeb plastyków oddajemy wyremontowany gmach byłej synagogi, w którym pomieścimy dwie sale wystawowe, jedenaście indywidualnych pracowni malarskich itp. Zamierzamy też zorganizować tam kluby i stowarzyszenia twórcze. Co roku organizujemy konkursy tematyczne, co roku ktoś ze środowiska twórczego otrzymuje nagrodę wojewódzką. To był i jest — uważam — najbardziej właściwy kierunek tego mecenatu z naszej strony.

PYTANIE: Tak, to rzeczywiście bardzo interesujące. Wydaje mi się, że właśnie zapewnienie środków materialnych środowiskom twórczym jest podstawą ich działalności. Z tego jednak co towarzyszu sekretarzu powiedział wynika, że nie są to jeszcze środowiska, które by w pełni zaspokoili ambicje Rzeszowszczyzny w prezentowaniu jej problemów w naszej kulturze narodowej. Jakże nadzieje wiążecie z rozwojem tych środowisk? Co powinni one podejmować, żeby zaspokoić ambicje województwa?

ODPOWIEDZ: Przede wszystkim muszą same umocnić się, aby mogły

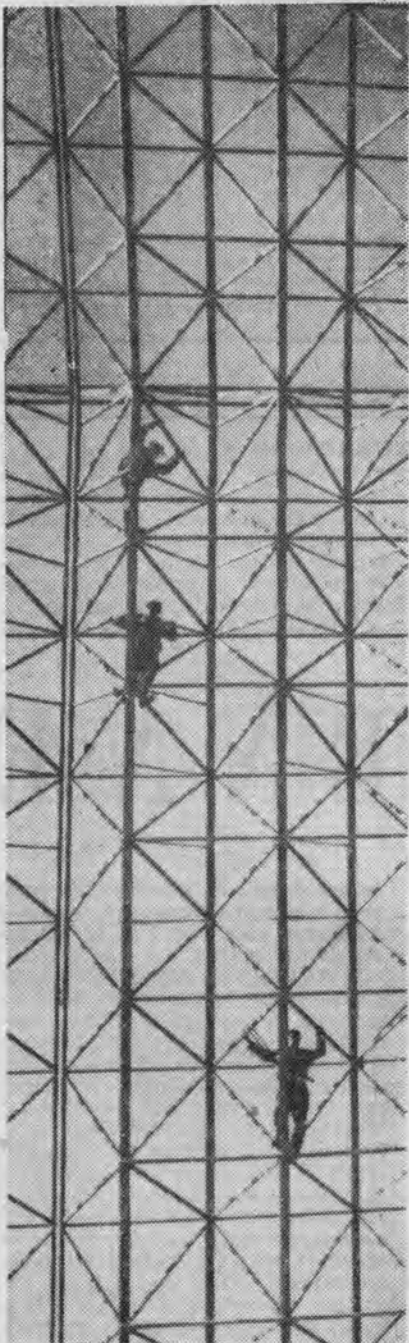
stanowić dobry, pracowity, zwarty kolektyw. Chcielibyśmy, by wpływały na rozwój intelektualny społeczeństwa Rzeszowszczyzny, utrwały w literaturze, poezji, plastyce i w innych pracach obraz naszych czasów, obraz tych olbrzymich przemian, jakie dokonują się na ziemi rzeszowskiej. Chcielibyśmy ponadto, żeby te środowiska dobrze się u nas czuły, po prostu, aby zakorzeniły się.

PYTANIE: Chciałem teraz zapytać, jak wygląda mapa kulturalna Rzeszowszczyzny? Bo macie przecież również w województwie miasta i ośrodki historycznie stare, o dużych tradycjach. Przykładem jest chociażby Przemyśl.

ODPOWIEDZ: To fakt. Oprócz Rzeszowa i jego środowiska naukowego, kształtowanego obecnie przez wyższe uczelnie, wyróżnić należy przede wszystkim Przemyśl, a w nim mające już długoletnie tradycje Towarzystwo Naukowe i Towarzystwo Historyczne. Interesujące jest również środowisko w Gorlicach, które zbiera i wydaje wiele wartościowych materiałów regionalnych w cyklicznej publikacji pt. „Nad rzeką Ropą”. W Dębicy i w miastach, w których przemysł poważnie się rozwija i rozwija, działają Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zajmujące się na co dzień współczesną historią swych regionów. Warto podkreślić, że wyrasta u nas nowy człowiek parający się problemami kulturalnymi. Obserwujemy to w Krośnie i w Lubaczowie, choć w dalszym ciągu liczymy i stawiamy na absolwentów wyższych uczelni, na inteligencję techniczną.

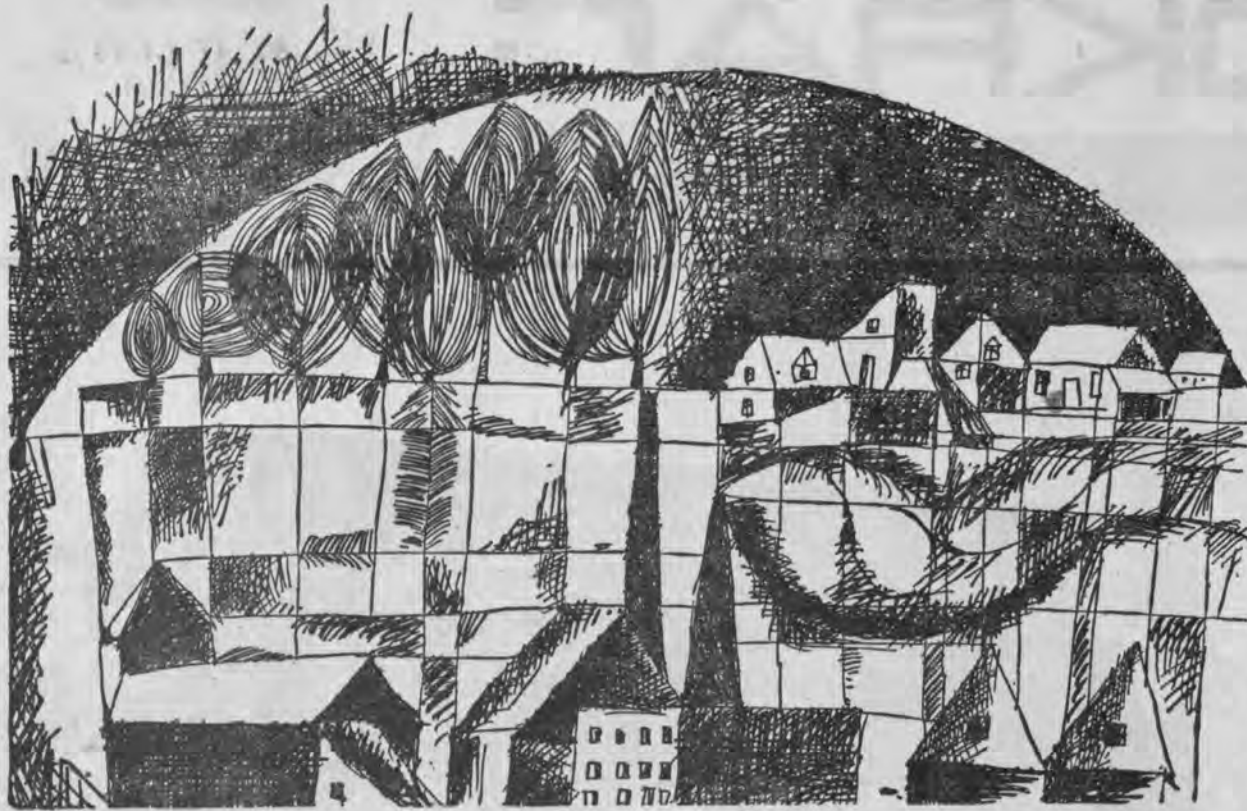
PYTANIE: Proszę o wypowiedź na temat: jaki jest wpływ w Rzeszowskim socjalistycznej kultury na rozwój osobowości człowieka?

ODPOWIEDZ: Problem, który wysuwacie jest problemem trudnym i złożonym. Nie podlega jednak dyskusji, że kultura oddziałuje na osobowość człowieka. Wiemy również o tym, że kształtuje smak estetyczny, wpływa na organizację codziennego życia każdego z nas. Widzimy jak uczy książka, felieton, teatr czy odczyt. Widzimy, jak wpływa na kształtowanie światopoglądu i charakteru człowieka oraz na kształtowanie się stosunków międzyludzkich. Nie są to tylko ogólnikowe stwierdzenia, ponieważ praktyka potwierdza te tezy. Dawniej na wsi rzeszowskiej grano różne sztuki,



Fot. CAF

CIĄG DALSZY NA STR. 3



Barbara Smoczeńska

Synagoga i dalsze sprawy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Z koniecznością uporządkowania i zaplanowania przestrzennego planu między dwiema synagogami w tej pierwszej od kilku lat mieści się archiwum województwa powstał projekt stworzenia tam warunków do ekspozycji rzeźby pod otwartym niebem.

Ta interesująca inicjatywa rzeszowskich artystów stała się ostatnio przedmiotem narady w Prezydium MRN w Rzeszowie. W gronie przedstawicieli Wydziału Propagandy KW, Wydziału Kultury Prez. WRN, reprezentantów Miejskiej Rady Narodowej, projektodawcy przedstawili szczegółowo swój plan. Zaproszono również wybitnych rzeźbiarzy z Krakowa dla skonsultowania pomysłu — docenta ASP i członka Zarządu Głównego ZPAP Antoniego Hajdeckiego, adiunkta ASP Mariana Koniecznego (twórca warszawskiej „Nile”) adiunkta ASP Mariana Kruczka i art. rzeźbiarza Romana Tarkowskiego. Artyści ci, zresztą nieprzypadkowo przybyli do Rzeszowa — zarówno Konieczny,

Kruczek jak i Tarkowski wywodzą się z Rzeszowszczyzny i wiążą ich z Rzeszowem nici przywiązania i sentymentu do ziemi rodzinnej. Dlatego z chęcią zadeklarowali swoją pomoc w tej inicjatywie dla miasta. Otwarcie stałej (wymiennej) ekspozycji rzeźby na wolnym powietrzu wymaga współpracy urbanistów, rzeźbiarzy i architektów dla odpowiedniego ukształtowania terenu, budowy tarasów i umocnień, zaprojektowania oprawy z zieleni i architektury. Dałoby to w efekcie piękny fragment architektoniczny dla miasta tak dotąd ubogiego w akcenty tego rodzaju.

Projekt został przyjęty — ustalono nawet etapy realizacji. Postanowiono włączyć teren między dwiema synagogami do obszaru przestrzeni zielonej na placu Zwycięstwa, opracować dokumentację najpóźniej w I kwartale 1966 roku i w sierpniu lub wrześniu przyszłego roku przystąpić do kształtowania terenu. Z końcem 1966 roku lub przy ewentualnych przeszkodach w roku 1967 można będzie już otworzyć wystawę rzeźby.

Wspomniałem już, że nasze miasto przy całym swoim dynamicznym rozwoju, nie miało dotąd szczęścia do rzeźby i do szczęśliwych rozwiązań przestrzennych. Nowych osiedli nie łączy w zwarty organizm miejski jakieś odpowiednio zakomponowane formy plastyczne w krajobrazie. Brak dobrych rzeźb, udatych pomników, które stanowiłyby mogłyby swoimi fragmentami miasta lub dominantami przestrzenne dla poszczególnych dzielnic. I o tych sprawach mówiono w dialogu między władzami miasta i artystami. Jednymyślnie stwierdzono, iż należy przystąpić również do realizacji długofalowego planu, który można by nazwać wprowadzeniem rzeźby na plac i ulice Rzeszowa. Artyści rzeźbiarze zobowiązali się do pomocy w realizacji tego planu przez bezpłatne opracowywanie projektów i pomoc przy ich lokalizacji. Oczywiście trudno na razie mówić o jakichś konkretnych pracach, jest to raczej ogólna wytyczna działania na przyszłość, w miarę posiadanych możliwości i środków, lecz wierzymy w to, że idea ta urzeczywistni się w kamieniu, brązie i marmurze, i uczyni Rzeszów piękniejszym.

A więc nie ulega wątpliwości, że otwarcie „Synagoga” jest doniosłym etapem w życiu Rzeszowa. Oznacza zacieśnienie sojuszu między miastem a jego środowiskiem artystycznym, jest wyrazem wciąż większego wpływu tego środowiska na życie kulturalne i obyczajowe miasta.

EDMUND GAJEWSKI WIELKA FALA

MIMO ODLEGŁOŚCI w czasie urzeka mnie ta skrzętnie zanotowana przez A. Jakubowicza i C. Kotowicza kronika najstarszego środowiska twórczego Rzeszowa. Kronika — budzi uczucia szczególnie ciepłe. Chciałoby się rzec za poetą

„Już nie ma tych miasteczek, gdzie sześć był poetą zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem...”

To nie daremne żale, ale cieniwa nutka „starych wspomnień czar”. Mam wrażenie, że to było wczoraj. Odrapane, czyszczówki, ciemne wyboiste uliczki, prowincjonalne sklepiki, schodki w górę... schodki w dół, neorealizm obraz z filmów włoskich. W jedynej kawiarence, stoliki wyznaczały granicę nierzeczywistych i ubogich środowisk. Niedługo poznałem ludzi, którzy mieli dać początek nurtowi kształtującemu duszę miasta, który miał rósć wraz z nim.

Pierwszy rozdział dziejów bractwa Łukasza, najstarszego środowiska twórczego Rzeszowa zanotowano w 1944 roku. Po wyzwoleniu do naszego miasta napływa wielu artystów, którzy biorą aktywny udział w różnorodnej ożywionej działalności twórczej. Pierwszą wystawę w salach miejscowego muzeum zorganizowano już w 1944 roku. Wystawiło 28 autorów 118 prac. O niej Ignacy Witz pisał w „Rzeczypospolitej”.

„Prace nasuwają przekonanie, że spośród wystawców są ludzie, którzy z odpowiedzialnością potrafią pracować w plastyce. Zadaniem społeczeństwa i władz jest rozszerzyć nad nimi opiekę, okazać zainteresowanie...”

W 1945 roku mieszkańcy Rzeszowa oglądają wystawę indywidualną — Mieczysława Wejmana, później — profesora i rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, prezesa Zarządu Głównego ZPA Plastyków.

Jest to rok pierwszej ofensywy dla artystów na nowo awansowane miasto. Plastycy dwoją się i troją. Organizują tzw. „Piątki plastyków” aplikując mieszcuchom rzeszowskim potężną porcję odczytów i dyskusji o sztuce, literaturze, architekturze. Prelegenci same „tuzy”. Ich nazwiska są gwarancją zainteresowania: Adam Przybóś, Mieczysław Wejman, Bolesław Ożóg i inni. Już wtedy powstaje pracownia, która przyjmie zamówienia wchodzące w zakres sztuki stosowanej. W pełnym toku są prace nad uruchomieniem teatru kukielkowego. W pobliskim Łańcucie rodzi się tzw. kolonia malarska, którą tworzą zamieszkał w zamku artyści. W Krośnie plastycy tworzą Związek i wydają pismo poświęcone sprawom kultury plastycznej pt. „Sztuka i życie”.

Ukoronowaniem tych chwalebnych poczynań artystów plastyków jest powstanie w styczniu Wolnego Studium Sztuk Plastycznych. Uczono rysunków, malarstwa, rzeźby i wiedzy o sztuce. W 1947 roku Studium przekształcone zostaje w Ognisko Kultury Plastycznej i działa do 1951 r. Kilku słuchaczy Studium kształci się na Akademii Sztuk Pięknych i powraca do Rzeszowa z tzw. „Grupą 14”.

1946 rok zapisał się w historii środowiska Wojewódzkim Festiwałem Sztuki. Był to rezultat współpracy artystów zamieszkałych w różnych miastach województwa. 34 autorów wystawiło około 100 prac. Od tego czasu w środowisku rzeszowskim dojrzewa koncepcja zorganizowania Związku, który objąłby artystów zamieszkałych w całym województwie.

23 lutego podjęto decyzję o rozwiązaniu stowarzyszenia i przystąpienia do Związku jako Oddział Krakowskiego ZPAP. Weryfikacja, która miała miejsce w tym czasie, niewątpliwie podnosi poziom artystyczny ich prac. Plastycy wystawiają w Krakowie i Warszawie, uzyskując pozytywne recenzje prasowe. Żywa i interesująca działalność twórczą prowadzą wtedy M. Truskolaski, M. Gabryel-Rużycka, M. Stróński, Z. Krygowski, J. Dziedziulewicz, St. Witowski i inni.

Wkrótce jednak następuje likwidacja rzeszowskiego Oddziału ZPAP i utworzenie Delegatury Związku. Przed nielicznym środowiskiem artystów w Rzeszowie piętrzą się coraz to nowe trudności i kłopoty. Następuje odpyły wielu zdolnych artystów do innych miast. Do 1955 r. to jałowy okres w życiu plastycznym nadwiślańskiego miasta. Jak ktoś chciał już pofatygować do Łańcuta miał możliwość oglądać w najlepszym razie raz do roku niezbyt ciekawą wystawę.

Ten skromny nurt życia plastycznego nie był jedyny. O wiele bujniej rozwijał się ten drugi... Rzeszowianie nie pamiętają takiego urzędzaju. Ni stąd ni zowad na rzeszowskim bruku wyrosła plejada domorosłych plastyków, którzy twórczość — o zgrozo! — wylądowała się na murach miasta. Po „mazy „upiekszyły” ściany i tak niepięknych kamieniczek. Kto chciał to „kropił” budujące dzieła, konkurujące z jeleniami na rykowickim... W każdym razie stało się podobno gwoździem podnoszenia zacofanego grodu. poza tym było cicho i pusto.

Do Rzeszowa przyjechałem w 1949 roku i dlatego łatwo mi ożywić ten okres niewygasłymi jeszcze wrażeniami. Pierwszym „cyganem” spod znaku palety, z którym los mnie związał na dobre i

Rozmowa z artystą plastykiem Jerzym Majewskim — komisarzem Ogólnopolskiej Wystawy w Rzeszowie

WIDNOKRĄG: W dniu dzisiejszym oddany jest dla potrzeb środowiska plastycznego i celów wystawowych obiekt, o którym krąży niemal legenda. Jakże w związku z tym nasuwają się panu uwagi, refleksje?

J. MAJEWSKI: Wydaje mi się, a nie ma chyba w tym wiele przesady, że dwa obiekty służące dla potrzeb kultury odbudowywano w Polsce w okresie ostatnich dwudziestu lat w podobny sposób: Teatr Wielki w Warszawie i budynek, w którym mieszczą się pracownie rzeszowskich plastyków i sale wystawowe, w których otwieramy właśnie dziś ogólnopolską wystawę malarstwa „Jesienne konfrontacje”

Wprawdzie od Teatru Wielkiego dzieł nas ogromna ranga funkcji i znaczenia obu tych placówek, ileś tam tysięcy metrów sześciennych kubatury, ale po dwudziestu latach odbudowy otrzymaliśmy w Rzeszowie obiekt, jakiego nie powstydziłoby się żadne duże miasto z Warszawy włącznie. Stąd te skojarzenia... Jeśli chodzi o legendy. Wszystko to już jest poza nami i na szczęście żadna z surrealistycznych niejednokrotnie koncepcji zagospodarowania odbudowanego obiektu byleż synagoga, jakie przeżywalimy w tych latach nie została zrealizowana...

„WIDNOKRĄG”: Kilka słów o samym obiekcie...

J. MAJEWSKI: Kubatura budynku wynosi ponad 10 tysięcy metrów

sześciennych. Podstawowa jego część zajmuje dwie sale wystawowe o powierzchni 500 metrów kwadratowych przygotowane do ekspozycji nawet bardzo dużych wystaw. W górnej części budynku

tości. Opowiadania o ogromnych wolnych powierzchniach są takim samym mitem jak te, w które budynek zdążył już obrósnąć przez lata o nim dyskusji i odbudowy...

„WIDNOKRĄG”: Wydaje nam się,

J E S I E N N E

znajduje się 11 pracowni, a w części administracyjnej pomieszczenia dla Biura Wystaw Artystycznych i Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Tu również znajduje się niewielkie pomieszczenie przeznaczone na świetlicę, klub.

„WIDNOKRĄG”: A więc perspektywy jak najlepsze?

J. MAJEWSKI: Niewątpliwie. Ale przy okazji chciałbym zwrócić uwagę i na ten fakt, że szereg ważnych pomieszczeń ściśle związanych z rozwojem plastyki, w budynku tym nie ma miejsca. Nie ma go dla pracowni rzeźbiarskiej, pracowni ceramicznej, pracowni dla wykonywania większych prac wystawienniczych, są trudności z magazynem dla Biura Wystaw Artystycznych, które gromadzi i odpowiada za prace o wielkiej niejednokrotnie war-

że jest to sprawa nieodłącznie związana z przeprowadzeniem adaptacji tego typu obiektów i na to nie poradzić nie można.

J. MAJEWSKI: Sądzę, że moje uczucia podzielają wszyscy koledzy plastycy zamieszkałi w naszym województwie, nasi sympatycy i przyjaciele. Jesteśmy wdzięczni Komitetowi Wojewódzkiemu i Miejskiemu Partii, Prezydium Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wydziałowi Kultury, Prezydium WRN w Rzeszowie, jak również i tym wszystkim, którzy przyczynili się do tego, by ten obiekt został odbudowany dla upowszechnienia sztuki i rozwoju twórczości plastycznej.

Chcę podkreślić z całym naciskiem, że pomimo znanych trudności inwestycyjnych w resorcie kultury w naszym województwie, na



MOHORT — olej

I. Krajewski

Fot. Aleksander Hadała

złe, był Roman Prokulewicz... Tacy rodzą się raz na sto lat. Był to pierwszy „wolny” grafik redakcyjny, dosłownie „wolny” bez granic. Smak pracy wywołał u niego niezwykle pragnienie. Romek, gdy słyszał o pilnej winietce, momentalnie odczuwał potrzebę wypicia wody mineralnej, po czym padało solenne oświadczenie, że po pięciu minutach zabiera się do roboty. Wracał po tygodniu z miną niewiniątka. Znalazłem lekarstwo na to pragnienie... Po uroczystym zapewnieniu, ładowałem Romka do pokoju — i przekraczałem klucz. Metoda ciut radykalna, ale skuteczna. Wiązankę „pochlebstw” pod moim adresem wysłuchiwałem nie bez próżności. Wkrótce następowala cisza, a po pewnym czasie zamówienie niczym wizytówka zjawiało się w szczelnie pod drzwiami, a Romek znów był wolny bez granic.

Ostatnio kulturalny Rzeszów miał okazję poznać jego dorobek, wynik talentu i niezwykłej pracy. Kto zamykał go na klucz przez te kilka lat? W latach tych Romek żył w „symbiozie” z Józefem Wilkoniem. Tę nierozłączną parę widziałem się na co dzień i od święta. Dzisiaj Wilkon zdobywa również laury za granicami kraju, m. in. w Paryżu. Darujcie słabemu — chwilę słabości; w 1955 roku w „Nowinach Tygodnia” pisałem:

„Do rozważań zachęcają interesujące prace Józefa Wilkonia i Romana Prokulewicza. Obrazy olejne Wilkonia przemawiają bogactwem zestawień kolorystycznych nie pozostawionych impresjonistycznej żywiołowości „Wiosna” (olej). W grafice Wil-

kon odrzuca użyte i konwencjonalne style, ustępuje swój stosunek do otaczających go zjawisk — do natury przekazać w formie wyobraźniowo-intelektualnej.

Smiałość i szczerść poszukiwań nowych środków artystycznego wyrazu bezsprzecznie jest charakterystyczna dla prac Prokulewicza”.

W 1955 roku zaszły wypadki nieprzewidziane, rzeszowskie środowisko plastyków otrzymuje zastrzyk młodej i świeżej krwi — proszę wybaczyć mi to określenie, ale naprawdę była to nie lada operacja na „żywym trupie”.

Grupa 14, to rozdział drugi dziejów bractwa Łukasza w Rzeszowie. Studenci i absolwenci Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, którymi kierowała chęć wyjazdu i osiedlenia się w jednym z zaniedbanych pod względem plastycznym ośrodków, organizują Grupę. Wybór pada na Rzeszów, skąd niektórzy pochodzą. Warto chyba wspomnieć tych kilka nazwisk, które zyskały sobie w Rzeszowie duże uznanie: Adolf Jakubowicz, Renata Niemirska-Pisarek, Cezary Kotowicz, Alfred Kud, Jerzy Majewski, Zdzisław Ostrowski, Janina Ożóg i inni.

Grupa Czternastu niemal od początku swej działalności spotykała się z poparciem i aprobatą jak również krytyką swojej działalności. Dyskusje na jej temat toczyły się na łamach prasy codziennej i literackiej. Po złożeniu dyplomu członkowie grupy wstąpili do Związku i weszli do Rzeszowskiego Oddziału ZPAP, a grupa zawiesiła swą działalność. Nieco później w 1962 roku powstaje w Rzeszowie Biuro Wy-

staw Artystycznych, które aktywnie zajęło się organizowaniem wystaw i upowszechnianiem sztuki.

W 1955 roku stateczni mieszkańcy Rzeszowa oglądali niezwykłą „gorączkę plastyczną”. Oliwy dołał jeszcze plastyk i dziennikarz w jednej osobie Stanisław Witowski, który tym razem napisał do „Nowin Tygodnia” artykuł dyskusyjny o sytuacji w plastyce rzeszowskiej. Był to historyczny najazd młodych plastyków na redakcję. Najpierw Witowski i „młodzi” kłócili się ze „starszymi”, potem młodzi z młodymi, jeszcze później Witowski z młodymi, w końcu, wszyscy razem. Cała ta artystyczna brań zadomowiła się w dziale kulturalnym i potężnie gardowała. Ten i ów zaczął znosić do redakcji tzw. płótna. Wkrótce przedsięwzięcie towarzyszyło przeniesieniu się do redakcyjnej świetlicy, gdzie urządziło sobie magazyn. Na owoce nie trzeba było długo czekać. Wystawę plastyki ziemi rzeszowskiej w miejscowym muzeum zwidziło kilkanaście tysięcy ludzi, wywołała ona niezwykle zainteresowanie i żywe dyskusje.

Dzisiaj można mówić o wielu inicjatywach i osiągnięciach miejscowego środowiska plastyków. Warto jednak wspomnieć o tworzeniu galerii malarstwa współczesnego w 12 kołach w całym województwie.

Nie będę chyba zym prorokiem, ale od wielu lat trwa złoty okres życia plastycznego Rzeszowa, a tętno jego nie słabnie. Niech więc ta „wielka fala” nie odplywa. Niech trwa! Twórcy nie są sami.

EDMUND GAJEWSKI

Wywiad z członkiem KC i sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie WŁADYSŁAWEM KRUCZKIEM

(Ciąg dalszy ze str. 1)

często o małych wartościach artystycznych i wychowawczych. Kiedy ludzie zetknęli się z dobrym teatrem zawodowym, między innymi z naszym teatrem im. Wandy Siemaszkowej, który dzisiaj dociera do wszystkich miast powiatowych, a nawet do małych miejscowości, kiedy zobaczyli teatr w telewizji, domagają się teraz coraz lepszych sztuk. Zaczęto też nad nimi dyskutować... Ostatnio na przykład rozwinęła się ożywiona i bardzo szeroka dyskusja nad filmem „Popioły”. Zainteresowanie tamtą epoką i książką Zeromskiego jest duże. Próbuje się przy okazji ocenić postawę Polaków w walce o niepodległość. Równocześnie mocno krytykuje się Wajdę za nie najlepsze pokazanie tych naszych tradycji.

Albo weźmy inne sprawy. Ubiory, mieszkania, zabawy na wsi... Przecież to wszystko jest niepodobne do tego sprzed 20, 30 lat. Albo kultura osobista ludzi. Chociaż krytykujemy jeszcze to i owo, przecież obserwujemy wyraźne zmiany na lepsze. Poważną rolę wychowawczą spełniają odczyty. Wzrasta czytelnictwo książki na wsi. Notujemy rozwój szeregu interesujących inicjatyw organizowania czytelników, klubów-kawiarni, klubów prasy i książki. Rozwija się również amatorski ruch artystyczny. Oprócz istniejącej w Rzeszowie rozgłośni radiowej zorganizowana i wybudowana została telewizyjna stacja przekazywająca.

Wyrazem społecznej aktywności kulturalnej jest działalność szeregu towarzystw regionalnych oraz społecznych muzeów regionalnych.

Zorganizowane Biuro Wystaw Artystycznych rozwija ożywioną działalność popularyzatorską sztuki. Wystawy plastyczne docierają również do środowisk robotniczych, klubów fabrycznych, świetlic. Dziś dobry obraz można zobaczyć w wielu domach. Równocześnie obserwujemy wpływ plastyki na kształtowanie wyglądu estetycznego placówek handlowych, biur, domów kultury, szkół itp.

Zakładowy Dom Kultury w Stalowej Woli prowadzi od lat ożywioną działalność kulturalno-oświatową wśród załogi huty i ma już widoczne rezultaty. To samo można powiedzieć o wielu innych zakładowych, powiatowych i miejskich domach kultury, które wpływają na kształtowanie postaw, charakterów zbliżając społeczeństwo do sztuki i kultury.

Dużą rolę w upowszechnieniu kultury spełniają „Nowiny Rzeszowskie” rozchodzące się codziennie w

teren w ilości ponad 100 tys. egzemplarzy. Czyta je miasto i wieś, czyta je nieraz cała rodzina, a więc dzielnik nasz oddziaływanie na więcej osób aniżeli wynosi nakład. A czytelnictwo książek... Wzrastająca z roku na rok liczba czytelników osiągnęła ponad 300 tys. miłośników książki. W każdym roku przybywa w województwie od 20—25 tys. czytelników.

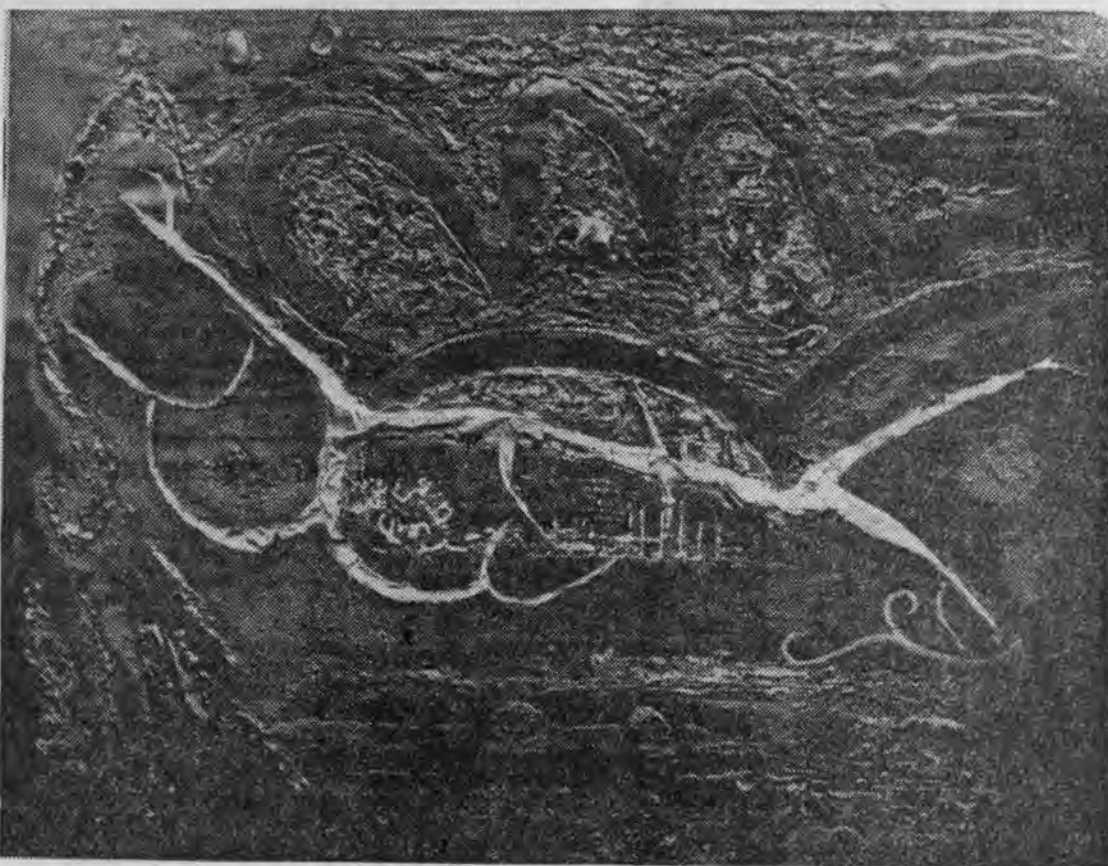
PYTANIE: Wydaje mi się, że ziemia rzeszowska ma w dziejach najnowszej historii narodowej jakieś specjalne miejsce ze względu choćby na burliwy i — trzeba to też powiedzieć — tragiczny okres pierwszych lat istnienia władzy ludowej. Odbiło się to przecież bardzo głośnym echem w całym naszym kraju. Myślę, że nie ma dziś mieszkańca Polski, który by sprawami Rzeszowszczyzny szczególnie z tego okresu nie interesował się. Odbiło jednak tych spraw w literaturze jest — uważam — niewiele. Do tej pory ze znanych książek wymienię choćby „Łuny w Bieszczadach”, na podstawie której Petelczy zrealizował film pt. „Ogniomistrz Kaleń”. Ale nie znalazło to jeszcze wyraźnego, pełnego kształtu w literaturze polskiej. Czy uważacie, że słuszne i potrzebne jest już teraz czy też za kilka lat utralenie w piśmiennictwie historii ziemi rzeszowskiej w jej tragicznych powikłaniach narodowych, w jej drodze ku Polsce współczesnej? Czy historia ta, będąca zmiennym przyczynkiem do naszego losu narodowego, znalazła przynajmniej w jakimś stopniu i znajduje właściwe odzwierciedlenie w literaturze i sztuce?

ODPOWIEDŹ: Ziemia rzeszowska ma jeszcze bardzo wiele tematów, niestety, nie opracowanych i nie odkrytych. Wspomnę tu chociażby o bogatych tradycjach postępowych walk chłopskich i robotniczych. Myślę o okresie międzywojennego 20-lecia. O powstaniu leskim, strajkach chłopskich czy później w okresie okupacji o walkach partyzantów z faszystowskim najazdem, no i o przeobrażeniach, jakie dokonują się u nas w bardzo szybkim tempie, szybszym aniżeli w innych województwach, zbliżonych strukturą do naszego.

Jest wprawdzie kilka powieści i filmów, które próbowały w różnych wersjach i z różnym szczęściem podjąć problematykę naszego województwa. Większość jednak tych pozycji podejmuje przede wszystkim problem walki z bandami UPA czy reakcyjnym podziemiem. Za mało jest jeszcze pozycji o tematyce społecznej, za mało mamy jeszcze reportaży. Myślę tu rzeczywiście o dobrych reportażach, tak zwanych w czasie, nawracających do dnia dzisiejszego. Taki temat podjęli m. in. Jerzy Ambroziowicz i Aleksander Rowiński, choć dość późno. Przydałoby się więcej podobnych pozycji. Jestem jednak przekonany, że tematyka, o której mówimy znajduje właściwe odbicie nie tylko w radiu, telewizji, ale również w literaturze i sztuce. Chyba wreszcie ludzie pióra zainteresują się jakże przecież bogatą i ciekawą problematyką naszego regionu.

W klubach świetlicach i domach kultury...

Ok. 4 tys. nowych czytelników i punktów bibliotecznych uruchomiono w wyniku zakończonego obecnie ogólnokrajowego współzawodnictwa bibliotek i bibliotekarzy dla uczczenia 20-lecia PRL. We współzawodnictwie tym wzięło udział 95 proc. ogółu bibliotek publicznych w całej Polsce oraz wiele bibliotek związkowych zawodowych. Od roku 1964 podjęto ok. 20 tys. zobowiązań indywidualnych i zespolonych. Dzięki ich realizacji liczba czytelników w kraju zwiększyła się o pół miliona osób. Powołano do życia 1.600 nowych kół przyjaźni bibliotek, wzbogaczy się księgozbiory placówek bibliotecznych.



JONASZ STERN CZARNY ŁAD — olej

Fot. A. HADAŁA

obiektem ten znalazły się środki i zrobiono wszystko, by był on otwarty wraz z pierwszą w historii Rzeszowa ogólnopolską wystawą malarstwa. Jest to jeden z dowodów, że w młodym, wojewódzkim mieście, gdzie nasze środowisko nie ma zbyt starych tradycji, potraktowano potrzebę upowszechnienia sztuki z całym zrozumieniem i życzliwością. Zaczyna się wytwarzać nowa tradycja, gdzie nasze ambicje wiążą

rezultatem współpracy środowiska z decydującymi o rozwoju kultury organizacjami i instytucjami.

Myślę, że ta dzisiejsza uroczystość jest chyba tego najlepszym potwierdzeniem.

„WIDNOKRĄG”: Przejdźmy do samej wystawy. Jakże są jej główne założenia?

J. MAJEWSKI: Chcę uprzedzić zarzuty naszych potencjalnych krytyków, że tytuł mało oryginalny.

trzymujemy najbliższe kontakty, no i oczywiście koledzy z okręgu rzeszowskiego.

Przyjęliśmy założenie, iż każdy z zaproszonych może wystawić 2 prace. Główny ciężar organizacyjny wystawy przyjęło na siebie Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie, oraz powołany z tej okazji Komitet Organizacyjny.

„WIDNOKRĄG”: Czasu było raczej niewiele...

J. MAJEWSKI: Rzeczywiście. Stąd biorą się pewne niedostatki organizacyjne, za które z góry przepaszamy zarówno wystawiających, jak i publiczność. Jeśli „Jesiennie konfrontacje” organizowane będą, jak przewidujemy, co dwa lata, będzie to w życiu kulturalnym naszego miasta impreza o dużym znaczeniu, a nie mając już tegorocznych dodatkowych trudności związanych z oddaniem do użytku obiektu, potrafimy ją zorganizować lepiej i staranniej.

„WIDNOKRĄG”: W otwarciu sal wystawowych i wystawy wezmą udział artyści malarze z różnych rejonów kraju. Jest to jak już pan wspominał, drugi w ostatnich latach jzjazd tego rodzaju w Rzeszowie. Czy macie w związku z tym jakieś szczególne projekty?

J. MAJEWSKI: Przede wszystkim chciałbym w imieniu Komitetu Organizacyjnego podziękować tym wszystkim, którzy nadesłali swoje prace na naszą wystawę, prace interesujące i różnorodne, pozwalające na dokonanie artystycznej konfrontacji na przykładach dobrego malarstwa. Cieszymy się, że szereg kolegów zapowiedziało swój przyjazd do Rzeszowa, by wziąć udział w naszej pięknej uroczystości, że są

wśród nich nasi koledzy i profesorowie z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pogoda nie jest szczególnie, ale sądzimy, że dwudniowy pobyt w Rzeszowie upłynie im w przyjacielskiej atmosferze. Przewidujemy zwiedzenie Muzeum w Łańcucie, wycieczkę do Przemysła i Krasiczyna. Niezwykle ważny dla nas jest program nieoficjalny, osobiste kontakty i rozmowy z kolegami, których znamy z wystaw i interesującej twórczości. Z praktyki wiem, że były to zawsze najbardziej ciekawe i pożyteczne spotkania.

Fakt, że w otwarciu sal wystawowych i wystawy „Jesiennie konfrontacje” wezmą udział przedstawiciele władz partyjnych i państwowych daje tej podwójnej uroczystości szczególną rangę, której znaczenie w pełni doceniamy.

„WIDNOKRĄG”: Czy macie jakieś uwagi, propozycje pod adresem tych wszystkich, którzy będą odwiedzać ten wielki gmach przy placu Zwycięstwa w charakterze zwyczajnych odbiorców sztuki?

J. MAJEWSKI: Powstanie w Rzeszowie dużego, mającego świetne warunki ekspozycji ośrodka upowszechniania sztuki, stwarza możliwość rozwijania szerokiej pracy popularyzatorskiej w tym zakresie. Myślę, że możliwości te potrafimy wykorzystać. Ci, którzy malują obrazy i ci, którzy przychodzą na nie patrzeć.

„WIDNOKRĄG”: Dziękuję za uwagę. „Widnokrag”, korzystając z dzisiejszej rozmowy pragnie dołączyć się z najlepszymi życzeniami wielu pięknych obrazów, w wielu pięknych pracowniach i salach wystawowych!

KONFRONTACJE

się z dążeniami i potrzebami miasta i województwa.

Nie jest to zresztą problem wyłącznie plastyków. Wiąże się to w ogóle z klimatem dla działalności kulturalnej w całym województwie. Chciałbym przypomnieć pewną historię. Przed trzema laty gościliśmy w Rzeszowie Prezydium Rady Artystycznej Sekcji Malarstwa Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków. Spotkało się wtedy w naszym mieście wielu znakomitych malarzy z różnych rejonów kraju. Pamiętam, że na zakończenie obrad zabrał głos wiceprezes Zarządu Głównego Związku, Stefan Gierowski. Powiedział, że szereg rezultatów twórczych i organizacyjnych Związku w województwie rzeszowskim jest rezultatem mądrej pomocy udzielanej przez tutejsze władze plastykom,

Być może. Początkowa koncepcja wystawy przyjęła nazwę „Człowiek w malarstwie”. Zrezygnowaliśmy z tytułu, gdyż podobny miało co najmniej kilka konkursów plastycznych organizowanych w kraju. Przyjęliśmy „Jesiennie konfrontacje” gdyż wydaje nam się, że odpowiada to może w najlepszy sposób założeniom wystawy, choć i ten tytuł nie jest zbyt odkrywczy. Sądzę, że o charakterze samej wystawy, o eksponowanych na niej pracach wypowiedzą się krytycy. Chciałbym dla informacji dorzucić kilka szczegółów. W wystawie bierze udział ponad sześćdziesięciu autorów, reprezentujących różne kierunki artystyczne. Reprezentowani są artyści ze środowisk — łódzkiego, warszawskiego, Wybrzeża, Wrocławia. Najliczniej reprezentowane jest środowisko krakowskie, z którym u-

Treścią tego opowiadania jest przygoda morska Johna Kennedy'ego z okresu II wojny światowej

JOHN HERSEK

OPOWIADANIE

LUDZIE NASI, znalazł się na Południowym Pacyfiku, kiedy przyjdzie im toczyć bój z przyrodą, walczą z nią z większą zaciętością, aniżeli walczili kiedykolwiek z wrogiem człowiekiem. Porucznik John F. Kennedy, syn byłego ambasadora, a ostatnio dowódcą kutra torpedowego na Wyspach Salomona, bawiąc onegdaj przejazdem w mieście, opowiedział mi, w jak niezwykły sposób udało mu się ująć z życiem w czasie działań wojennych na Pacyfiku. Spytałem Kennedy'ego, czy może o tym napisać. Z kolei on mnie zapytał, czy nie zechciałbym pomówić jeszcze z paru ludźmi jego załogi. Udałem się więc do Ośrodka Szkoleniowego Kutów Torpedowych w Melville na Rhode Island i tam, pod dachem z blachy falowanej półcylindrycznego baraku, trzech ludzi załogi kutra torpedowego, nazwiskiem Johnston, McMahon i McGuire dorzuciło jeszcze pewne szczegóły.

Otóż jednostka Kennedy'ego P. T. 109 wypłynęła pewnej nocy z eskadry na morze celem patrolowania Blackett Strait, pośrodku Wysp Salomona. Blackett Strait jest pływem wodnym graniczącym na północno-wschodzie z wulkanem Kolombangara, na zachodzie z wyspą Vella Lavella, na południu z wyspą Gizo i pasmem potrzepionych korałem wysepek, na wschodzie zaś z masywem New Georgia. Kutry torpedowe wykonywały zadanie bojowe w odległości około czterdziestu mil od swojej bazy na wyspie Rendova, na południe od New Georgia.

Noc była czarna, bezgwiezdna, a dokoła znajdowały się japońscy niszczyciele. Było około godziny 2.30 —109-tka z trzema oficerami i dziesięć ciał ludźmi załogi prowadziła trzy jednostki do wyznaczonego punktu docelowego. Jeden z mechaników, nazwiskiem George Ross stał na dziobie okrętu i patrzył w bezkresną dal przez lornetkę, która jeszcze bardziej wydawała pustką. Stojąc przy sterze Kennedy zobaczył, jak Ross odwrócił się, wskazał ręką w stronę ciemności. Człowiek z przedniego stanowiska karabinu maszynowego krzyknął: „Okręt! Dwa rumby z prawej”. Kennedy dojrzał jakiś kształt i wykręcił ster, aby nastawić łódź do ataku, ale ta zareagowała słabo. Płynęła powoli tylko na jednym z trzech silników, aby sprawić jak najmniej hałasu i nie być rozpoznana z powietrza. Ów kształt okazał się japońskim niszczycielem, ostrym dziobem prującym ciemności z szybkością czterdziestu węzłów i zbierającym prosto na P. T. 109. Trzynastu ludzi załogi ledwie zdążyło ochłonąć. Ci, którzy dostrzegli zbliżający się japoński okręt ze strachu zostali jakby porażeni: mogli poruszać rękami, ale nogi mieli zdrtwiałe. Kennedy wykręcił koło sterowe w lewo, jednak kuter znowu nie reagował. Ross zdobył się na brawurowy, lecz daremny czyn: załadował działo przeciwpancerne 37 milimetrów, które tego dnia zostało tymczasowo zmontowane na przednim pokładzie, łącznie z kołami i osprzętem. Ogarzyła ich nieodparta chęć ucieczki, wykoślenia za burtę lub zabicie czegośkolwiek, lecz ciągle jeszcze nikt nie był w stanie ruszyć się z miejsca; wszystkie ręce kurczowo przywarły do swoich stanowisk bojowych. Wtedy Japończyk zwałił się na ich kuter i przeciął go na dwoje. Niszczyciel ostrym wtargnięciem rafił w prawą burtę, piętnaście stóp od dzioba, i z przeraźliwym chrzęstem wbił się na wysokość w kuter. Drewniany kadłub nie zdążył nawet stawić oporu niszczycielowi. Kennedy cisnęło w lewo, na ścianę postępu; pomyślał: „A więc, tak się człowiek czuje, kiedy ginie”. W u-

łamku sekundy znalazł się na pokładzie w pozycji leżącej i patrzył, jak niszczyciel przepływa przez jego kuter. Znowu dał się słyszeć huk i ogromny snop czerwono-żółtego światła rozjaśnił ciemności: niszczyciel błysnął płomieniem. Jego dziwny, potrzepiony komin w kształcie odwróconej litery Y trwał w olśniewającym blasku, a później w pamięci Kennedy'ego.

W chwili katastrofy jeden tylko człowiek znajdował się pod pokładem. Był nim mechanik McMahon. Nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co się dzieje na górze. Właśnie kiedy sięgnął ręką do dźwigni, aby uruchomić silnik prawoburtowy, dziób okrętu wtargnął do maszynowni. Z wąskiego przejścia uniosło go w górę i cisnęło dotkliwie o grodz prawej burty, z tyłu za generatorem. Wylądował w pozycji siedzącej. Potężny zwał płomieni zmierzał ku niemu od tyłu, od strony masy, gdzie znajdowało się parę zbiorników z ropą. Przyłożył rękę do twarzy, wyprężył mocno nogi i czekał na śmierć. Poczuli jednak, jak w ślad za płomieniem dosięga go woda i wysza w głąb, razem z idącą na dno połową kutra. Ze wszystkich sił starał się wypłynąć. Od chwili zderzenia usiłował wstrzymać oddech, ale w nadmiernie rozdętych płucach poczuł dotkliwy ból. Spojrzał w górę — przez zmaconą wodę przeświecał żółty blask: na powierzchni płonęła ropa. Wydostał się z głębi i znowu znalazł się pośrodku płomieni. Brzygał wodą jak mógł najmocniej, aby utworzyć wokół siebie wysepkę wodną pośrodku ognia.

W momencie zderzenia drugi mechanik, Johnston spał na pokładzie. Uniosło go w górę i cisnęło za burtę. Przez chwilę widział płomienie i niszczyciela. Potem obrzymia śruba okrętowa zawirowała tuż obok, a potężne skotłowanie wody ściągnęło go w głąb. Woda, niby rwący potok trzymała go głęboko, młóćąc, tarmosząc nim i obijając żebra. Nazajutrz ciało jego było czarne i posiniaczone od tych cieżgów.

Jedna połowa kutra Kennedy'ego trzymała się na powierzchni. Grodzie były uszczelnione, dzięki czemu przednie wodoszczelne pomieszczenia utrzymywały kadłub na wodzie. Niszczyciel znikł w mrokach nocy. Nastała straszliwa cisza: słychać było jedynie syk płonącej ropy.

„Jest kto na pokładzie?” — krzyknął Kennedy.

Słabym głosem odpowiedziało trzech marynarzy. McGuire, Mauer i Albert; oraz jeden z mechaników, Thom.

Kennedy ujrzał płomień na wodzie zaledwie dziesięć stóp od okrętu. Pomyślał, że ogień może spowodować wybuch pozostałych zbiorników ropy, więc rozkazał: „Wszystcy za burtę!”

Pięciu ludzi skoczyło do morza; skotłowana śruba niszczyciela woda odegnała jednak ogień od kutra, tak że po kilku minutach Kennedy i ówch pięciu wdrapało się z powrotem na pokład. Teraz Kennedy zaczął nawoływać, żeby sprawdzić, czy jest jeszcze ktoś żywy za burtą. Odkrzykiwali jeden po drugim: trzeci mechanik Ross; marynarze Harris, McMahon, Johnston, Zinsser, Starkey. Dwóch nie dawało odpowiedzi, Kirksey i Marney. Od ostatniego bom bardowania w bazie Kirksey był pewny, że zginie. Trwał na swoim posterunku przy działach na rufie, skulony, w swej kapokowej kamizelce ratunkowej, zawiązanej aż po same policzki. Nikt nie wiedział, co się stało z nim i Marneyem.

Harris krzyknął z ciemności: „Mr Kennedy! McMahon jest ciężko ranny...” — Kennedy ściągnął buty, koszulę, odpiął pistolet, kazał Maurowi zamigotać światłem, żeby ludzie w morzu widzieli, gdzie znajduje się ocalała połowa kadłuba, po czym skoczył do wody i popłynął, skąd dochodziły głosy. Wszystkie pozostałe przy życiu znajdowali się daleko jeden od drugiego — McMahon i Harris pływali w odległości paru set jardów.

Kiedy Kennedy dopłynął do McMahona, zapytał: „Jak się czujesz, Mac?”

Na co McMahon odpowiedział: — Dobrze. Jestem tylko jakby trochę poparzony.

„A reszta, jak się macie?” — spytał donośnym głosem Kennedy.

„Jestem ranny w nogę” — odrzekł słabym głosem Harris.

Kennedy, który przed pięcioma laty należał do pływackiej drużyny w Harvard holował McMahona w stronę kutra. Łagodna bryza oddalała okręt od pływających. Potrzebowali czterdziestu pięciu minut na przepłynięcie odcinka odpowiadającego zaledwie stu jardom. W pewnej chwili Harris jęknął: „Nie mogę dalej”. — Na to Kennedy, z bostońskich Kennedy'ów, powiedział

do Harrisa, który pochodził z tego samego miasta: — Jak na chłopa z Bostonu, urządzasz tutaj nieliczne widowisko. — Wówczas Harris wziął się w garść i przestał narzekać. Następnie Kennedy płynął od jednego do drugiego, aby zobaczyć, jak sobie radzą. Wszyscy, którzy przeżyli robienie kutra, mogli utrzymać się na wodzie dzięki sprzętowi ratownicemu: mieli na sobie kapokowe kurtki w rodzaju waciaków, żółte lotnicze kamizelki ratunkowe albo napełnione powietrzem pasy, niby małe dętki. Ale ci, co czuli się jeszcze na siłach, musieli holować niezdolnych pływac samodzielnie. Jeden z ludzi wzywał pomocy, a kiedy Ross podpłynął do niego, stwierdził, że ma on na sobie aż dwie kamizelki ratunkowe. Johnston znalazł się w wodzie, w oparach ropy, która nie wybuchła. Dym, którego miał pełne płuca, przyprawił go o omdlenie. Thom przyholował go. Pozostali dopłynęli bez pomocy towarzyszy. Była teraz piąta rano, lecz ciągle jeszcze zalegały ciemności. Prawie trzy godziny trwał dopłynięcie wszystkich do łodzi.

Ludzie legli na pokładzie, Mc-

je mi się, że przestaliśmy już być jednostką wojskową. Musimy wspólnie sprawę rozważyć.”

Podczas narady wynikła różnica zdań. Wtedy Kennedy doszedł do wniosku, że w anarchii nie znajdują ocalenia. Więc z powrotem objął dowództwo.

Najważniejszą rzeczą było znaleźć miejsce, gdzie można było położyć McMahona i Johnstona. Mc Mahon miał twarz, szyję, ręce, przeguby i stopy potwornie poparzone. Johnston był blady i nie przestawał kaszleć. Nie bardzo starczało miejsca dla wszystkich, zatem Kennedy kazał pozostałym skoczyć do morza, aby było luzniej, i sam też skoczył. Cały rano trzymali się blisko kadłuba i nie mogli się dość nadziwić, że nikt nie przybywa im na ratunek. I cały czas wypatrywali samolotu krążącego w poszukiwaniu ich śladów — jak to sobie wyobrażali.

Około dziesiątej kadłub napęczniały wodą zabułgotał żałośnie i przewrócił się do góry dnem. Mc Mahon i Johnston musieli go się kurczowo trzymać. Nie ulegało wątpliwości, że szczątki kutra niebawem zatoną. Kiedy słońce minęło zenit, Kennedy, wskazując na jedną z grup wysp na południowym wschodzie, w odległości trzech mil,

i pół godziny w wodzie. Teraz zaczął rozważać sytuację. W ciągu kilku ostatnich nocy przepływały przez Ferguson Passage okręty idące do akcji. Ferguson Passage znajdował się dokładnie za tą przyludną, małą wysepką. Być może...

Zerwał się. Wziął ze sobą jedną parę butów. Na biodra nałożył pas ratunkowy. Na szyi zawiesił pistolet maszynowy kalibru 38. Ściągnął spodnie. Zabrał również reflektor sygnałowy, ciężką maszynę na baterię, szeroką i długą na dziesięć cali, ciągle jeszcze owiniętą w kamizelkę ratowniczą. I rzekł: „Jeśli napotkam okręt, dam światłem dwukrotnie sygnał. Hasłem będzie „Roger”, odpowiedzią „Wilco”. Ruszyli w stronę morza. Uszedłszy piętnaście kroków doznał zawrotu głowy, ale w wodzie otrzeźwiał.

Zbliżał się wieczór. Pół godziny płynął, zanim dotarł do rafy. Ledwie wylądował na niej, jakie cztery stopy pod powierzchnią wody, dojrzał kształt ogromnej ryby. Błysnął światłem i bryznął mocno wodą. Ryba pierzchała. Kennedy przypomniał sobie, co jeden z jego załogi powiedział przed paru dniami: „Te barrakudy podpływają pod człowieka i zżerają mu jądra.” W



Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Mahon i Ross zapadli w sen. Inni mówili, jak cudowną rzeczą jest przeżyć i wypatrywać jakiejś swojej jednostki, która by ich wybawiła. Mauer nie przestawał migać światłem, żeby wskazać im drogę. Tamci nie zamierzali wcale zawracać. Widzieli zderzenie, widzieli ścianę ognia i powolne spalanie na wodzie. Na ten widok dowódca jednego z kutrów zakrył twarz rękami i łkając lamentował: „Boże mój! Boże mój!” — On i inni zawrócili. Przybywszy po paru dniach do bazy, dywizjon odprawił nabożeństwo żałobne za dusze trzynastu ludzi, a jeden z oficerów napisał do matki: „George Ross poniósł śmierć dla sprawy, w którą wierzył mocniej niż którykolwiek z nas, był bowiem idealistą w najczystszym tego słowa znaczeniu. Jack Kennedy, syn ambasadora, znajdował się na tym samym okręcie i także zginął. Tego, kto powiedział, że śmietanka narodu zginęła na wojnie, nigdy nie będzie można posądzić o przesadę w przedstawianiu jakże smutnej prawdy...”

Rozbitkowie, obudziwszy się o świcie na szczątkach swego kutra, rozjeździ się dokoła. Trzy mile od nich, od strony północno-wschodniej, ujrzeni monumentalny stożek Kolombangary: wiedzieli że roi się tam od dziesiątków tysięcy Japońców. Na zachodzie, w odległości pięciu mil, znajdowała się Vella Lavella; i też pełno nieprzyjaciół. Na południu, około mili drogi zaledwie, widać było jak na dłoni obóz japoński na wyspie Gizo. Kennedy polecił swoim ludziom przylgnąć jak najbardziej do pokładu, aby żadna ruchoma sylwetka nie sterczała na tle nieba. Przechylając się kadłub bułgotał i z wolna tonął. Kennedy powiedział: — Co pocniemy, jeśli zjawia się Japy? Chcicie walczyć czy poddać się? — Więc zrobili przegląd swego uzbrojenia. 37-milimetrówka przekoiłowała za burtę i zawisła na łańcuchu. Mieli jeden karabin maszynowy, sześć automatów kalibru 45 i jeden kalibru 38. To niewiele.

„Więc co chcecie zrobić?” — spytał Kennedy.

Na co jeden z nich odparł: — „Cokolwiek pan rozkaże, Mr Kennedy. Pan jest dowódcą.”

„W żadnym podreżniku nie ma mowy o podobnej sytuacji. Wyda-

powiedział: „Mamy mniejszą szansą dotarcia do niej niż do paru tamtych wysp, ale za to jest mniejsza szansa zastania na niej Japońców”. Ci, co nie mogli pływać swobodnie, skupili się wokół długi na sześć i szerokiej na dwa jardy belki, za pomocą której cieśle przymocowali 37 milimetrówkę do pokładu; belka ta siłą eksplozji wyrzucona została za burtę. Przywiązano do niej kilka par butów oraz reflektor sygnałowy owinięty w kamizelkę ratunkową, aby go utrzymać na powierzchni wody. Thom objął komendę nad tą nieskoordynowaną grupą. Kennedy wziął znowu McMahona na hol. Jeden koniec długiego rzemienia od kamizelki ratunkowej McMahona odciął i chwycił zębami. Płynął stylem klasycznym, wlokąc za sobą bezwładnego McMahona. Pięć godzin płynęli, zanim dotarli do wyspy. Przez zaciśnięte żebry woda wsączała się Kennedy'emu do ust i sporo jej się nalykał. McMahonowi słona woda wżerała się w okropne oparzelizny, lecz nie skarżył się. Co parę minut, kiedy Kennedy zatrzymywał się, aby odpocząć, i wyjęty z ust rzygawkę trzymał w rękę, McMahon pytał po prostu: „Daleko jeszcze?”

„Dobrze płyniemy — odpowiadał Kennedy i pytał: — Jak się czujesz, Mac?”

McMahon nieodmiennie odpowiadał „O.K., Mr Kennedy. A pan?”

Mimo obciążenia Kennedy wyprzedził swoich ludzi i pierwszy dopłynął do skał okalających wyspę. Zostawił McMahona na brzegu i kazał mu przycupnąć, aby go Japy nie wysłędziły. On sam ruszył w głąb wyspy i zbałał ją. Miała zaledwie 100 jardów w średnicy; orzechy kokosowe na drzewach, lecz ani jednego na ziemi. Jak okiem sięgnąć żadnych Japońców. Skoro tylko reszta załogi stanęła na lądzie, jeden z ludzi wytopił płynącą wzdłuż brzegu japońską barkę. Wszyscy legli pokotem. Barka mknęła dalej. Johnston, który był bardzo blady i bardzo słaby, i nie przestawał kaszleć, powiedział: „chyba tu nie przyjdą. Bo i po co? To za mała wyspa. Kennedy, wycierpany wysiłkiem, spoczął gdzieś w gąszczy krzaków, bruch ciężki mu od wody, której się tyle nalykał. Poza krótkimi przerwami na kadłubie okrętu spędził piętnaście

ciągu następnych godzin nadarzyła mu się niejedna okazja, aby przypomnieć sobie te słowa.

Zapadł mrok. Kennedy, w wodzie po pas, błądził wzdłuż poszarpanych raf. Za każdym niemal krokiem ostry korał ranił mu stopy. Potem znowu przystawał, tracąc grunt pod nogami. Szedł jak pijany na zwolnionym filmie, ścisnąc kurczowo reflektor. Około dziesiątej dotarł do końca rafy, wzdłuż Ferguson Passage. Ściągnął buty i przywiązawszy je do kamizelki ratunkowej puścił się na pełne morze. Płynął około godziny póki mu się nie wydało, że znajduje się dostatecznie daleko, aby napotkać któryś z kutrów torpedowych. Stąpając w pozycji pionowej po wodzie, nastuchiwał przytłumionego wycia motorów, czekał marzył, z reflektorem w dłoni. A kiedy spojrzął na zachód, dojrzał jakiegoś błyski i doznał złudnej radości, że coś się dzieje. Światła były daleko za małymi wysepkami, nawet za Gizo, w odległości dziesięciu mil. Kennedy uprzątnął sobie, że kutry miały, po raz pierwszy od wielu nocy, iść wokół Gizo zamiast przez Ferguson Passage. Nadzieja przysła. Ruszył w powrotną drogę. Odczył tę samą bolesną przechadzkę po rafach i zmierzzał ku tej samej maleńkiej wysepce, na której znajdowali się jego towarzysze. Tym razem jednak powrót nie był tak łatwy. Kennedy był bardzo zmęczony, a bystry prąd znosił go na prawo. Widział, że nie zdoła dotrzeć do wyspy, więc błysnął światłem i zawołał: „Roger! Roger!” — aby dać znać o sobie.

Ludzie na brzegu wypatrywali go, pełni nadziei. Zobaczyli światło i usłyszeli wołanie. Byli nad wyraz uszczęśliwieni, będąc przekonani, że Kennedy napotkał jakiś kuter. Wyszli aż na rafy i zanurzyli po pas w wodzie czekali. Ci, co stąpali po rafach bez butów, cierpieli nieopisanie męki. Pokrzykiwali, ale niegłośno, z obawy przed Japami.

Jeden powiedział: „Znowu błysnęło.”

Po paru minutach odezwał się drugi: „Widzę światełko, o, tam!”

Trzeci powiedział: „Widać coś wśród ciemności!”

(Dokończenie w następnym numerze).

3 — 5 XII Zjazd Związku Literatów Polskich

IGOR NEWERLY
Przewodniczący Zarządu
Oddziału Warszawskiego

Przed zbliżającym się XV Ogólnopolskim Zjazdem Delegatów Związku Literatów Polskich, który obradować będzie w dniach 3—5 grudnia br. w Krakowie, rozmawiamy z prezesem warszawskiego oddziału ZLP — IGOREM NEWERLYM.

— Nie będę omawiał bogatego dorobku wydawniczego warszawskich pisarzy — mówi znany pisarz. — Chcę się skoncentrować na sprawach związanych z działalnością naszego oddziału. Ostatni okres naszej pracy cechuje duże ożywienie. Znajduje to wyraz w aktywnej pracy naszych sekcji, zespołów i klubów. Ostatnio powstał klub poetów sekcja pisarzy dla dzieci i młodzieży. Utworzył się też klub małych form. Własną sekcję zamierzają powołać tłumacze. Przejawem wzmożonej aktywności warszawskiego środowiska literackiego była również wysoka frekwencja na ostatnim ważnym zebraniu, na którym wybraliśmy 60 delegatów na krakowski zjazd.

— Nasze wnioski i postulaty na zjazd ujęte zostały w referacie opracowanym przez grupę kilkudziesięciu pisarzy — członków warszawskiego oddziału ZLP. Zawarliśmy tam najistotniejsze sprawy naszego środowiska. Można by je wyrazić w następujących punktach: warunki

pracy literackiej, „geograficzna” i merytoryczna analiza czasopiśmiennictwa literackiego, powołanie do życia instytucji, która reprezentowałaby interesy wszystkich środowisk twórczych. Inne sprawy dotyczą funduszu autorskiego i literackiego, zabezpieczenia amerykańskiego literatów i obowiązującej obecnie konwencji autorskiej.

— Pragnęlibym dodać — stwierdza na zakończenie I. Newerly — że problemy poruszone we wspomnianym referacie były przedmiotem rozmów z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR — Wincentym Krašką i ministrem kultury i sztuki — Lucjanem Motyką. Jakkolwiek punkt widzenia naszych rozmówców w niektórych sprawach różnił się od naszego, niemniej spotkał się z gotowością podjęcia wysiłków i starań dla załatwienia wielu przedstawionych przez nas konkretnych dezyderatów.

Jeżeli chodzi o sprawę powołania do życia instytucji reprezentującej środowiska twórcze, dowiedzieliśmy się podczas naszych spotkań z ministrem kultury i sztuki, że w opracowaniu znajduje się nowe zarządzenie prezesa Rady Ministrów o zreformowaniu istniejącej Rady Kultury i Sztuki.

Rozmawiała Barbara Kryńska

STEFAN OTWINOWSKI
Przewodniczący Zarządu
Oddziału Krakowskiego

O przygotowaniach do zjazdu i dorobku krakowskiego środowiska pisarskiego mówi prezes krakowskiego oddziału ZLP — STEFAN OTWINOWSKI.

— Fakt, że miejscem zjazdu będzie Kraków stanowi ważne wyda-

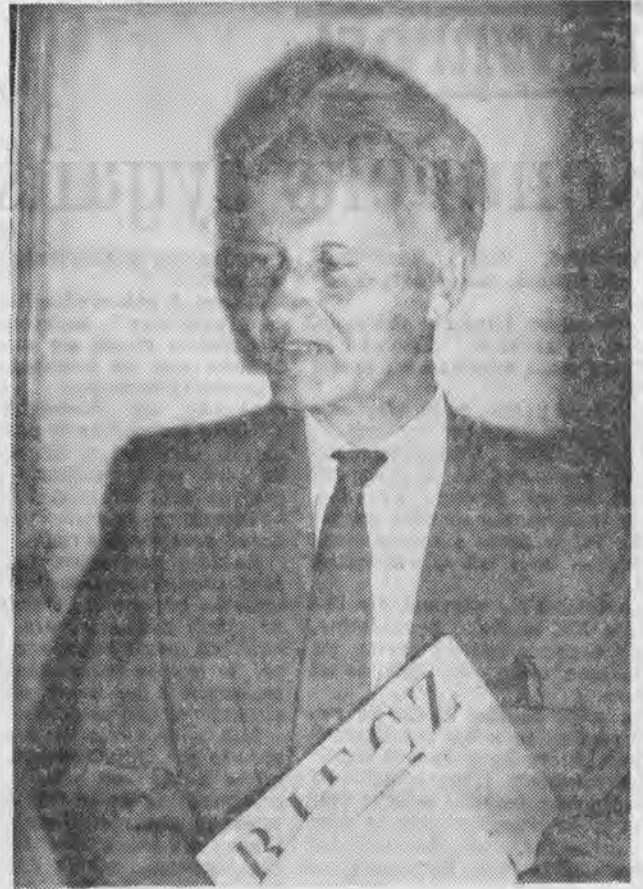
rzenie w życiu tutejszych środowisk twórczych. Będziemy mogli tu gościć ponownie całą czołową pisarską krajową. Na obrady wybrana została jedna z najbardziej reprezentacyjnych sal Krakowa — sala ratusza. Tu również zorganizowane zostaną liczne stoiska książkowe, prezentujące aktualny dorobek pol-

skiej literatury współczesnej. Wykorzystując okazję, jaką będzie obecność w Krakowie najwybitniejszych ludzi pióra z całego kraju, zamierzamy zorganizować w okresie zjazdu kilka spotkań i wieczorów autorskich. Odbędą się one m. in. w Nowej Hucie, sali matejkowskiego „Hordu Pruskiego”, w Sukiennicach oraz krakowskim domu kultury „Pod Baranami”.

Mówiąc o dorobku najliczniejszego po Warszawie krakowskiego środowiska pisarskiego Stefan Otwinowski podkreślił, że w okresie ostatnich 3 lat pisarze krakowscy wydali ponad 130 pozycji z zakresu prozy i 14 tomów poezji. W tym samym okresie dokonano 34 przekładów z literatury obcej oraz wznowiono blisko 90 pozycji z zakresu prozy i poezji, których nakłady zostały dawno wyczerpane. Pisarze krakowscy byli również autorami aż 51 nowych sztuk teatralnych. Wiele z tych dzieł stanowi próbę ukazania przemian, zachodzących w naszym kraju.

Krakowskie środowisko pisarskie — mówi Stefan Otwinowski — prowadzi także ożywioną działalność popularyzatorską, czego wyrazem może być liczba ponad 1400 spotkań autorskich z czytelnikami woj. krakowskiego i rzeszowskiego, zorganizowanych w okresie od 1963 do września br. Dużą wagę przywiązujemy także do sprawy pomocy młodym talentom, próbującym dopiero swych sił w literaturze. Utworzone przy krakowskim oddziale ZLP „Koło Młodych” liczy w tej chwili 40 członków. Tradycja tej pracy, życzliwy stosunek starszych pisarzy sprawiły, że większość interesujących debiutów pisarskich wywodzi swój rodowód z Krakowa.

(Rozmawiał Juliusz Solecki, Kt-PAP).



Fot. M. KOPEĆ

JULIAN PRZYBOS

Do chłopca który przyniósł wiersz

Wyjął wierszyk z kieszeni — jak trzmiela z jamki (zabręczało, zahuczało mu w głowie!), a ja — nieuważnie — ruchem byle jakim rozwijam karteluszek, trzymam jak za skrzydło —

Snieżnie, cicho, jakby siało makiem białym — nic. Słucha mojego czytania. Czytałem:

„Rano do dnia pastem sobie ja na błoniach kontu,
a do słonka na wurociu krągę,
a potem przy stawie.
Ale mi to wszystko stare zbrzydło
— czytam skacząc z wiersza na wiersz —
i orzę... zorzę...
pod borem...
traktorem,
koniem nowym”.

Tak pisze trzaskając rymami jak z bata.

Cóż ci na to powiem,
chłopcze, mój sąsiedzie
z pobliskiej wsi nadrzeszowskiej?
Czy mam witać jak brata... ni swata?

Ty sobie „śpiewający” jedziesz,
wesoły — powiadasz — beztrojski:
z góry — z góry na takie
jak ja stare Mazury...
— A odkąd to ze mnie Mazur z górami na bakier?!

Pewnie... pewnie... ja dziś sam nie starczę
na twój wiersz, żeby ożył...
Co zrobisz?

Oprzeźrenie się, ruszę na twojej żniwiarce,
rozkręcę się na twoim traktorze,
tyleż ty maie — co ja tobie
dopomogę — dopomożesz
mało-wiele i wiele-mało:

Żeby twój wiersz we mnie — w tobie ożył,
żeby wspólnie w mięśniach rytm ustalić,
żeby rym się niósł o echo dalej —
i zawołał w życie życia jak przepiórka,
że dojrzało.

Podaj ręce: przemieńmy je sobie
na oranych naszych pagórkach!

KSIĄŻKA W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM

UNESCO wydało niedawno książkę Roberta Escarpita, profesora literatury porównawczej na Uniwersytecie w Bordeaux, pt. „La révolution du livre”, omawiającą przemiany, jakie zaszły w minionym 10-leciu w zakresie produkcji i rozpowszechnienia książki. Fragment tej pracy opublikowano w ostatnim numerze „Biuletynu Polskiego Komitetu do spraw UNESCO”.

Interpretowanie statystyk — pisze autor — wydawnictw książkowych nastroża poważne trudności, gdyż brak jest jednoznacznej definicji „książki”. We Włoszech np. publikacją jest „książka” wówczas, gdy liczy co najmniej 100 stron, w Anglii zaś decyduje o tym cena wydawnictwa.

Mimo tych rozbieżności interpretacyjnych, prof. Escarpit, analizując statystyki, wskazuje na tendencje rozwojowe światowej produkcji książki. Krajami produkującymi pod tym względem są: ZSRR, Chiny, Wielka Brytania, NRF i NRD łącznie, Japonia i USA. W tych krajach liczba tytułów wydawanych rocznie przekracza 20 tysięcy. W następnej grupie znajdują się: Francja, Indie, Hiszpania, Włochy, Holandia i Czechosłowacja. Te 12 krajów, wśród których, niestety, nie ma Polski, reprezentuje połowę światowej produkcji wydawniczej.

W latach 1952—1962 produkcja światowa zwiększyła się o około 40 proc., jednak w kilku krajach nastąpił poważny spadek, m. in. w Belgii o 25 proc., a we Włoszech — o 16 proc. Wśród krajów, w których ruch wydawniczy nie słabnie lub w dalszym ciągu wzrasta, znajduje się Francja, Austria, Japonia i W. Brytania. Produkcja zaś w Chinach w ciągu 6 lat zwiększyła się przeszło dwukrotnie, a w USA o 85 proc.; kraj ten pretenduje do czwartego miejsca zajmowanego obecnie przez Japonię. Gwałtownie, bo aż o 426,2 proc. wzrosła w ciągu 10 lat produkcja książek w Kanadzie. Dokonuje się więc generalne przegrupowanie miejsc w czołówce wydawniczej świata, chociaż ustalone równowaga nie została jeszcze całkowicie zachwiana.

Istnieje 12 języków literackich, z których każdy używany jest potencjalnie przez przeszło 50 mln osób. Są to języki: chiński, angielski, rosyjski, hindi, hiszpański, niemiecki, japoń-

ski, bengali, arabski, francuski, portugalski i włoski.

Ogólna produkcja w językach angielskim, francuskim, hiszpańskim i niemieckim, które prof. Escarpit nazywa „pozarodowymi” wynosiła w 1952 r. 34 proc. produkcji światowej (250 tys. tytułów), a w 10 lat później — 36 proc. (350 tys. tytułów). W obrębie tych bloków lingwistycznych nastąpiło pełne przegrupowanie; swoją pozycję umocnił język angielski, zmniejszył się natomiast udział procentowy książek w języku francuskim, a blok niemiecki i hiszpański utrzymał się na tych samych pozycjach.

Sytuacja w bloku anglosaskim — pisze autor — posiadającym dwie „metropolie”, a więc Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, jest całkowicie odmienna. Jesteśmy obecnie świadkami zjawiska, którego wydawcy angielscy zawsze się obawiali: od czasu, gdy Dickens udał się do Stanów Zjednoczonych, by bronić praw pisarzy brytyjskich — przedściana angielskiej produkcji wydawniczej przez wydawnictwa amerykańskie, które obecnie uplasowały się w czołówce bloku językowego. Produkcja brytyjska reprezentowała jeszcze w roku 1952 przeszło połowę wspólnej produkcji bloku (18.600 tytułów), w roku 1962 natomiast liczba 25 tys. tytułów wydawnictw stanowi już tylko mniej niż jej połowę, a Stany Zjednoczone dościgają niemal swych brytyjskich kolegów cyfrą 22 tys. tytułów. Tak duży postęp zawdzięczają USA rozpowszechnianiu tanich książek, zwanych „paperback”.

Bardzo szybko wzrasta produkcja książek w krajach socjalistycznych, która w 1962 roku (bez Chin) była niemal równa produkcji 4 zachodnich bloków lingwistycznych.

Znaczne zmiany nastąpią niewątpliwie w państwach „trzeciego świata”; w minionym 10-leciu produkcję książek podjęto w blisko 20 krajach. „Należy przypuszczać — twierdzi autor — że liczba ich zwiększy się w przyszłości i że znacznie rozszerzy się ich działalność wydawnicza, ponieważ w 31 krajach afro-azjatyckich, co do których posiadamy obecnie dane statystyczne, przyrost produkcji wydawniczej w okresie 1952—1962 wyniósł 33 proc. Jest zatem prawdopodobne, że w najbliższym cza-

sie, po okresie koncentracji w obrębie bloków, nastąpi okres ekspansji młodych narodów, który zmieni w znacznym stopniu obraz produkcji wydawniczej na świecie”.

Inny aspekt tego zagadnienia podjęła polska badaczka, Jadwiga Kołodziejka w pracy: „Miejsce książki w kulturze masowej”, opublikowanej w IX tomie „Kultury i społeczeństwa”. Autorka skupiła swoją uwagę na książce, która dociera do czytelnika za pośrednictwem bibliotek. Statystyka UNESCO podaje, iż w latach 1952—1960 na 100 mieszkańców wypożyczono: we Francji — 8 książek, w NRF — 59, Rumunii — 126, NRD — 203, Norwegii — 224, Polsce — 237, na Węgrzech 303, w USA — 309, Szwecji — 392.

Zdaniem autorki, bardzo szybki rozwój środków masowego przekazu, głównie telewizji, nie zagraża czytelnictwu książek i prasy. Przeciwnie, rozbudzając zainteresowania kulturalne, zwiększają rzesze czytających; po książki spopularyzowane przez telewizję, prasę i radio sięga wielu nowych czytelników. Z badań J. Kołodziejkiej wynika szereg praktycznych wniosków, m. in. dotyczących polityki zakupu książek do bibliotek, zwłaszcza zaopatrywania ich w nowości wydawnicze.

Z. K.



Rus. JERZY SIENKIEWICZ

na wprost

Kompleks cygański

— Powróżyć, komu powróżyć? Karta nie kłamie, karta ci prawdę powie...

List dostaniesz. Ktoś ci obmawia. Podróż ci się szykuje. Choroba za tobą. Serce masz szlachetne i umysł wielki...

I niech ktoś powie, że to nieprawda. Ostatecznie jakiś list do każdego kiedyś przyjdzie. Obmawiających nigdy nie brak. Podróż, większa czy mniejsza, też się zdarzy. Chorobę, taką czy inną, mamy za sobą wszyscy. Ze już o sercu i rozumie nie wspomnę — bo i tak się wszystko zgadza.

Oj, chciałoby się wierzyc, ale kalendarz o XX wieku przypomina, postępek i rozkwit wiedzy szerzy się zastraszająco, a Cyganek tyle, co na lekarstwo.

Czeka więc ludzka dusza na rewelacje, tęskni za wszechwiedzącym szamanem, który by w sposób zupełnie niezrozumiały i wyrafinowane skomplikowany potrafił odkryć rzeczy nawet najprostsze. Aby te marzenia zaspokoić, od dobrych już paru lat obok ankiet, mających coś na celu, rozpisuje się w naszym kraju specjalne „cygańskieankiety”.

Spełniają one kilka pozytywnych funkcji ludziom z wykształceniem niższym i wyższym, cierpiącym na kompleks Cyganki, pozwalają go rozładować w ramach naukowego światopoglądu — ankiet, wiadomo, to nie zabobon, lecz socjologia. Dalej stwarzają miłe i ujmujące wrażenie, że rozpisywający je Zarząd Pałni Chemicznych czy Wydział Komunikacji Miejskiej pragną w ankietowanej opinii publicznej znaleźć dla siebie niezawodny drogowskaz. No i wreszcie — przynoszą szereg rewelacji merytorycznych, niemożliwych do wykrycia gołym okiem na drodze pozaankietowej.

Toteż ankietę unikliwie bada, jak jest stosunek społeczeństwa do zjawiska pałni chemicznych. I wykrywa, że społeczeństwo w swej zdecydowanej większości pogodziło się już z istnieniem tych instytucji, co więcej — ma do nich ogromnie

emocjonalne nastawienie i mnóstwo zastrzeżeń.

Z innych ankiet wynikało ponadto, że „Delikatesy” najmniejszym powodzeniem cieszą się wśród mieszkańców wsi. Ze przeważającą częścią niezmotoryzowanych obywateli chciałaby się dorobić samochodu. Ze ferie świąteczne w odczuciu młodzieży szkolnej (i to bez względu na płeć, wiek i miejsce zamieszkania) są zbyt krótkie. Ze obywatele nabywający telewizory, mniej niż dotąd korzystają z radia.

Ankiety tego typu przynoszą też jako produkt dodatkowy odkrywcze wnioski poboczne. Okazuje się np., że opinii zdecydowanie negatywnych na temat gastronomii jest więcej w grupie respondentów, korzystających z jej usług niż w grupie stołujących się w domu.

Tak więc wiele niejasnych spraw zostało już wyjaśnionych. Natomiast czeka wciąż na swego Kolumba (ewentualnie kilku Wikingów) pewien bardzo, moim zdaniem, palący temat, a mianowicie: „Co myślą sobie autorzy takich ankiet, a jeśli nie, to dlaczego?” (sformułowanie robocze).

Osobiście znam nawet kogoś, kto by się nadawał do zorganizowania czegoś takiego. Niestety, jest aktualnie bardzo zajęty — przygotowuje do druku dzieło swego życia.

Lata całe zbierał bowiem z licznych urzędów stanu cywilnego „dane o ilości zawieranych małżeństw z rozbięciem na płeć”. Sumował oddzielnie astronomiczne ilości mężczyzn, wstępujących w związki małżeńskie, oddzielnie — niemniej astronomiczne ilości kobiet, zawierających małżeństwo. Po długich studiach doszedł wreszcie do wniosku, że stosunek ilości wspomnianych mężczyzn do ilości wspomnianych kobiet jest wielkością stałą i kształtuje się jak 1:1.

Gdy jednak to Dzieło znajdzie się już na półkach księgarskich, kto wie, może uda się naklonić Mi- strza...

KSANTYPA



STANISŁAW WITOWSKI — artysta-plastyk.

RYS. JERZY SIENKIEWICZ

Film

Superman strzela z kolta

„Treści tu niewiele. Napisany przez Jamesa Edwarda Granta i Claira Huffakera według opowiadania Paula S. Wellmana, scenariusz opowiada jak John Wayne i Stuart Whitman, robią ścierwo z och, około 700 brudnych renegeatów — żółtoskórych skunksów, dostarczających broń Komanczom” — tak oto lapidarnie, z isticie teksaską krzepą, streścił amerykański tygodnik „Time” fabułę filmu „Comancheros”, wyświetlanego obecnie u nas pod tytułem „W kraju Komanczów”. Comancheros to nie Indianie. To właśnie owe „żółtoskóre skunksy”, czyli Amerykanie dostarczający starych strzelb Indianom ze szczerpu Komanczów słynącego z doskonałych jeźdźców, odwagi i poczucia honoru, a walczącego wówczas z przemocą i uciskiem bia-

łych najeźdźców. Jak uczy nas historia, w końcu XVIII wieku było tych Indian 25.000. Statystyki z roku 1945 naliczyły ich raptem... 2.600. Ale ani Komanczerosi, ani Komancze nie są bohaterami filmu, który ich nazwę nosi w tytule. Bohaterem jest tu Big John, jak określa się w Hollywood znanego aktora Johna Wayne’a („Dyliżans” i wiele innych westernów) wcielający się tym razem w jednego ze słynnych (i osławionych) rangers — policjantów konnych, którzy walnie przyczynili się do zmniejszenia stanu liczebego amerykańskich Indian.

Nic co ludzkie nie jest wolne od gloryfikacji, nie należy zatem dziwić się, że amerykańscy autorzy przedstawiają w przepięknych barwach działalność owych policjantów. Ale typ, jaki prezentuje w tym filmie Wayne, to już coś więcej niż wzorowy policjant. Wyposażony we wszystkie pozytywne cechy, od których zależy zjednanie mu przychylności wida (szlachetny, rycerski wobec kobiet, przyjaźniel dzieci, odważny i niezłomny) jest w gruncie rzeczy przedstawicielem sposobu myślenia, uważającego przemoc za jedną z podstawowych metod wszelkiego działania i uznającego obok niej jeszcze inną metodę — podstęp.

Ten przedstawiciel władzy powołanej do ścigania przestępstw nie ma wahań i trudności szeryfa z „W samo południe”, nie zna obaw i strachu. W każdej sytuacji momentalnie wie, co i jak robić, a zawsze idzie przebojem. Z zimną krwią „wykończy” opryska, który ma mu ułatwić kontakt z Komanczerosami, a w trudnej sytuacji, kiedy jego przyjacielowi grozi aresztowanie i sąd w innym stanie USA, ominie prawo, którego sam jest stróżem.

Jest to więc jakiś prototyp późniejszego supermana, uważającego, że jedynie działanie z pozycji siły ma sens, gardzącego słabszymi i innymi niż on sam, człowieka uznającego tylko własne racje. Na tle dzielnego policjanta jakże mizernie wyglądają jego przeciwnicy. Nieokrzesani i dziki handlarz bronią, okrutni i głupawi Komanczerosi terroryzowani przez sparaliżowanego staruszka oraz sprzymierzeni z nimi Indianie. Tym ostatnim szczególnie nie szczędzą twórcy filmu ciemnych barw, wykorzystując wszystkie środki dla zohydzenia ich w oczach widza. Od wózka plemienia do prostego jeźdźca są to pijanice, nie zajmujący się niczym innym tylko galopadą, napadami i żłopaniem wódki z ogromnych blaszanych naczyń.

I to przeciwstawienie budzi największe opory i wątpliwości. Oglądaliśmy przecież już także i u nas westerny („Ostatnia walka Apacza”, „Złamana strzala”), których autorzy usiłowali historyczne bądź co bądź wydarzenia przedstawić w sposób bardziej zbliżony do prawdy. Ale twórcy „W kraju Komanczów” uważali, że nie warto się o to martwić. Postarali się po prostu dać widzom rozrywkę, za którą kryją się nie tylko wymogi kasy, ale także określonego rodzaju propagandy.

WITOLD SZYM CZYK

zdarzenia tygodnia

W dniu 25 listopada odbyło się plenarne posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie poświęcone omówieniu udziału związkowców w rozwoju kultury w woj. rzeszowskim oraz podjęto wnioski do dalszej działalności.

Po plenum odbył się występ Zespołu Pieśni i Tańca „Lasowiaci” z Zakładowego Domu Kultury Huty „Stalowa Wola”.

24 bm. rozpoczął tournée po województwie rzeszowskim kabaret „Opus” z Przewowa, który przedstawia program estradowy pt. „Rendez-vous z piosenką” w wykonaniu popularnych artystów słowackich. Program przygotowali Frantisek Vychodil (choreografia), Jan Chlebnick (dyrygent). Kierownikiem zespołu jest Wit Orlicky.

Słowaccy artyści wystąpili 24 bm. w Gorlicach, 25 w Jasle, 26 w Sarzynie, dziś, tj. w sobotę, występują w Dębicy. W niedzielę w Jarosławiu, a na poniedziałek przewidziany jest dwukrotny występ w Rzeszowie. Jest to rewizyta, gdyż jak już informowaliśmy, w Słowacji przebywał kabaret rzeszowskiej Estrady — „Porfirion”.

19 listopada w sali WDK odbył się koncert rzeszowskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej, z którą wystąpili soliści: Teresa Piatowska — sopran Operetki Poznańskiej i Jerzy Orłowski — tenor Opery Łódzkiej. Koncert prowadził Janusz Ambros.

Orkiestra i soliści wykonali utwory muzyczne A. Malawskiego, Stefania Fitełberga, Beethovena oraz arie operowe i operetkowe kompozytorów polskich i obcych.

26 bm. w Powiatowym Domu Kultury w Lesku rozpoczął się zorganizowany wspólnie z Wojewódzkim Centrum Kultury, kurs teatralny dla instruktorów wiejskich zespołów amatorskich z powiatów biezsadzki — Lesko, Sanok i Ustrzyki Dolne.

Uczestnicy seminarium podczas 100 godzin zajęć (dwa razy w miesiącu) zgodnie z programem opracowanym przez Centralną Poradnię Ruchu Amatorskiego w Warszawie, zapoznają się z metodą prowadzenia wiejskich zespołów teatralnych, pogłębia wiadomości z zakresu wiedzy o teatrze.

Mamy nadzieję, że wysiłek organizatorów nie pójdzie na marne, a rejon Biezsadzki wzbożyci się o wielu miłośników amatorskiej sceny.

W ubiegłą środę wyjechała do Nowego Targu 10-osobowa grupa pracowników kultury i przedstawicieli Ukrainskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego z woj. rzeszowskiego.

Dwudniowe seminarium, dla działaczy kulturalnych i narodowościowych towarzystw społeczno-kulturalnych z województw krakowskiego, łódzkiego, wrocławskiego, zorganizowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Departament Kulturalno-Oświatowy i Bibliotek jest poświęcone zagadnieniom pracy kulturalnej i warunkom jej realizacji w środowiskach mniejszości narodowych.

97 autorów nadesłało 312 prac na konkurs fotograficzny ogłoszony przez Zarząd Okręgu PTTK przy współudziale Kuratorium Okręgu Szkolnego, ZW ZMS i Komendę Chorągwi ZHP w Rzeszowie.

Sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę Zbigniewowi Kaszyckiemu z Sanoka, drugą nagrodę otrzymał Jerzy Zak z Rzeszowa, a trzecią Jerzy Radecki ze Stalowej Woli. Andrzej Michnikiewicz — uczeń Technikum Ekonomicznego w Dębicy — otrzymał pierwszą nagrodę w kategorii młodzieżowej, drugą Jan Caban z Turaszówki, a trzecią Janina Chmaj — uczennica Technikum Ekonomicznego w Dębicy.

Szkolne kolo fotograficzne przy Technikum Ekonomicznym w Dębicy otrzymało nagrodę specjalną za zespołowy udział w konkursie, ufundowaną przez Komendę Chorągwi ZHP.

Nadesłane prace będą eksponowane w grudniu na specjalnej wystawie, o czym poinformujemy czytelników, którzy sami ocenią umiejętności fotograficzne coraz liczniejszej rzeszy fotoamatorów.

W ramach współpracy na terenie województwa krakowskiego przebywa zespół miniaturowych aktorów Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek”. Miniaturowi aktorzy z Rzeszowa przedstawiają młodej publiczności wielu miejscowości woj. krakowskiego sztukę w trzech aktach „Bractwo iglarzy”, a partą na motywach powieści A. Domańskiej pt. „Paziowie króla Zygmunta”.

Nie oddział ZPAF lecz Towarzystwo...

W ostatnim numerze „Widnokregu” pisząc o przyznaniu Zdzisławowi Połtowskiemu tytułu artysty FIAP wspomnieliśmy m. in. że jest on jednym z organizatorów oddziału ZPAF. Oddział ZPAF jest sprawą chochlaka. W Rzeszowie działa tylko Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne, którego twórcą jest właśnie popularny arty...



Z filmu „W KRAJU KOMANCZÓW”

Polska grafika i sztuka ludowa pod kołem polarnym

W stolicy szwedzkiej prowincji Norrbotten, mieście Lulea, położonym w pobliżu koła polarnego, otwarta została wystawa grafiki i sztuki ludowej, urządzona staraniem Wydziału Kultury i Oświaty Szwedzkiej Federacji Związków Zawodowych i Towarzystwa Szwecja — Polska.

Seminarium i Zjazd DKF

W dniach od 12 do 18 grudnia odbędzie się w Warszawie, w Klubie TPPR, doroczne Ogólnopolskie Seminarium Dyskusyjnych Klubów Filmowych, organizowane przez Polską Federację DKF, która zrzesza już obecnie ponad 200 klubów z całego kraju. Seminarium poświęcone będzie sprawom kinematografii polskiej, czechosłowackiej i włoskiej. W części polskiej uczestnicy wysłuchają wykładów na temat aktualnej sytuacji filmu polskiego w świecie oraz na temat filmu autorskiego. Kinematografia czechosłowacka zostanie zaprezentowana od strony najnowszych tendencji, związanych z jej gwałtownym renesansem i sukcesami. Wykłady poświęcone filmowi włoskiemu prześledzą przede wszystkim znaczenie włoskiego neorealizmu i jego wpływ na współczesne rewelacje Włochów. Wykładowcami będą: prof. dr Stefan Morawski, dr Jerzy Płażewski, mgr Maria Kornatowska oraz red. Lech Pijanowski i Janusz Gazda. Przewidziane są spotkania z realizatorami polskimi i zagranicznymi. Być może w Seminarium weźmie również udział czołowy twórca włoskiego neorealizmu, znany scenarzysta — Cesare Zavattini. Uczestnicy obejrzą około 26 filmów, w tym, obok utworów najnowszych, również klasyczne pozycje neorealizmu. Tegoroczne Seminarium będzie już dziesiątym z kolei Ogólnopolskim Seminarium organizowanym przez Federację DKF.

Po Seminarium, 19 grudnia, odbędzie się IX Zjazd dyskusyjnych klubów filmowych, na którym omówione zostaną aktualne zadania i potrzeby ruchu klubowego. Zjazd dokona wyboru nowych władz Federacji.